OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 29 Maja / 10 Czerwca 1868 roku.

Nr 23. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok IV.

GUŚLARSKIE SPOSOBY LECZENIA.

Ludzie słabego a nadewszystko nieoświeconego pochodnią prawdziwej wiedzy umysłu, byli i są jeszcze skłonni do ślepej wiary w nadprzyrodzone zjawiska, które zarówno nauka, jak i prawdziwa religja stanowczo potępiają. Że są dziwy i cuda na świecie, wątpliwości nie ulega, ale i to pewna, że w świecie fizycznym jak i moralnym wszystko podlega pewnym stałym i niezmiennym prawom, wszystko się odbywa tak porządnie jak w zegarku. Świat duchów i czarów istnieje li tylko w schorzałej wyobraźni marzycieli, a cuda guślarskie pokazują się tylko na zawołanie kościelnym babom, lub ludziom będącym, jak to mówią, pod dobrą datą.



(Jaskółka Grzebiółka)

Przesądy i zabobony, które w dawnych ciemnych wiekach powszechną wiarę znajdowały, więcej zapewne ludzkości szkody zrobiły, aniżeli krwawe długoletnie wojny, oraz klęski głodu i moru. Gdy te bowiem tylko czasowe przynosiły spustoszenia, tamte przeciwnie, głęboko zakorzenione w umyśle społeczeństw, nie tylko do najstraszniejszych zbrodni je pobudzały, ale nadto tamowały postęp, szerzyły ciemnotę i zbydlęcały człowieka, czyniąc go igraszką snów, przywidzeń, obłędów i nierozsądnych obaw. Dziś, dzięki promieniom prawdziwej oświaty, przenikającym wszystkie warstwy ludzkości, nikt już nie myśli o sprzedaniu swej duszy szatanowi, nikt nie pragnie uchodzić za czarnoksiężnika, nikt nie ginie na stosie za to, że go posądzono o czary i konszachty z nieprzyjacielem rodu ludzkiego. A jednak są dziś jeszcze ludzie, ba, na setki zliczyć ich można, którzy we wszystko zwątpić gotowi, prócz tylko w istnienie nadprzyrodzonych zjawisk, w upióry, potępieńców, i wszelkiego rodzaju gusła.

Ze wszystkich może przesądów, najbardziej są upowszechnione lekarskie. Hołdują im nadewszystko wiejskie i miejskie kumoszki, podstarzałe babusie, którym się naprawdę zdaje, że w pustéj ich głowie jakaś nadziemska potęga śpiżarnie wszechmądrości założyła. Lecz jeżeli tę śmieszną ich zarozumiałość, i śmieszniejszą jeszcze wiarę w skuteczność tych czarodziejskich leków, policzym na

karb zdziecinnienia, to nie wiemy co powiedzieć o ludziach pragnących uchodzić za rozumnych i światłych, którzy u takich lekarek pomocy na swe słabości szukają?

Lekarstwa kumoszek, zwane powszechnie babskiemi lekami, dzielą się na dwie kategorje: do pierwszej należą środki, nieużywane wprawdzie w medycynie, ale naturalne; do drugiej zaś przeciwnie, środki oparte na gusłach i przesądach wszelkiego rodzaju. O tamtych nie mamy co mówić, bo jeżeli nie zawsze skutkują, to też i nie szkodzą, a przytem nic nie mają w sobie nadnaturalnego. Zastanowimy się więc tylko nad ostatniemi, które często bywają szkodliwe, a zawsze są nierozsądne i zasługujące na potępienie.

Leków nadprzyrodzonych wielkie jest mnóstwo: jedne z nich zasadzają się na zaklinaniu, inne na zamówieniu, do niektórych wchodzą rozmaite obrzydliwości, innym towarzyszą tajemnicze obrzędy, rozmaite manipulacje ze świętemi i przeklętemi rzeczami. Nim pomówim w krótkości o rozmaitych rodzajach tych leków, rzućmy wprzód okiem na zabobonne pojęcia, panujące po dziś dzień jeszcze o medycynie i chorobach wśród ludu naszego.

Choroba w wiekach ciemnoty uchodziła za sprawę szatana, a ponieważ za najlepszą broń przeciw temu ostatniemu poczytywano świętości, to też i choroby wszelkie świętościami starano się usunąć. Przesądne to mniemanie po dziś dzień w wielu miejscach panuje. W innych razach mniemano, że rozmaite słabości ludzkie pochodzą z uroku, czyli z czarów przez ludzi złośliwych rzuconych. Czasami przyczyną chorób były, jak mniemano, dziwne zjawiska ukazujące się na niebie i ziemi, jak komety, zaćmienia, przyjście na świat dzieci potwornych i t. d. Choroby epidemiczne, jak cholerę, wyobrażano sobie (i dziś w wielu miejscach wyobrażają) w postaci to kobiet czerwonych, to dziewic bladych i białych błąkających się od wsi do wsi, i upraszających napotkanych podróżnych aby ich na swój wózek przyjęli.

W czasach dawnych gdy medycyna pozostawała jeszcze w kolebce, lekarze byli po większej części szarlatanami, kryjącymi się ze swoją sztuką, i otoczonymi jakąś tajemniczością. Do swych leków używali środków nadprzyrodzonych, dla zamydlenia, jak to mówią, oczu swoim pacjentom, którzy poglądali na nich z trwogą i uszanowaniem.

Gdy lekarze tacy i czarodzieje znikli, sztuka ich przeszła spadkiem na owczarzy, pasieczników, i rozmaitych oszustów, znanych pod nazwą mądrych, znachorów, wróżbitów i t. p. Niektóre ich sekreta przeszły do powszechnej wiadomości i stały się udziałam poczciwych, ale ciemnych kumoszek, które nie szczędzą zwykle rad swoich proszone i nieproszone.

Wiele jest osób, rozsądnych nawet, które chętnie dają wiarę tym nadnaturalnym lekom, utrzymując, że ta lub owa osoba tym sposobem uleczoną została, a to wówczas gdy lekarze zupełnie ją opuścili, gdy żadne lekarstwa apteczne ulgi nie przynosiły. Rozumowanie to jednak tak jest płytkie, że każdy bez trudności obalić je potrafi. *Najprzód*, jeżeli wypytujemy starannie o ilość osób przez gusła uleczonych, dla czego nie postaramy się dowiedzieć ilu osobom też gusła albo nie pomogły, albo nawet zaszkodziły? *Powtóre*, że w danym razie po użyciu tych środków choroba ustąpiła, to zkąd ta pewność że i bez nich nie byłoby toż samo? *Potrzecie*, że lekarze nic nie pomogli, a pomógł jakiś Michałek lub Pawełek, zaiste dowodu żadnego na to postawić nie można, bo bardzo być może że to co przypisujemy tym ostatnim, właśnie jest dziełem tamtych. *Poczwarte*, wreszcie, gdyby nie było tych wszystkich argumentów, to jeden promyk zdrowego rozsądku, jedno baczne spojrzenie na tych lekarzy i ich leki, wystarczy do przekonania, że tylko umysł zupełnie ciemny lub chorobliwy, może im jakąkolwiekbądź dawać wiarę. Jakto, istota ciemna, nieokrzesana, nieumiejąca nieraz czytać, byłaby rozumniejszą od ludzi, którzy całe swe życie nad nauką spędzili!! Być że to może, aby kilka słów, których znaczenia ani sam Salomon by nie zrozumiał, wyszeptanych nad chorym, miałoby potęgę świętego słowa Zbawcy naszego, który przecież na zawołanie i za pieniądze cudów nie robił? Czy podobna aby choroba nieuleczona dla lekarzy, stała się posłuszną nie istocie jakiej natchnionej, nie żadnemu wybrańcowi Bożemu, ale jakiemuś pijakowi lub babie, w której głowie ciemno jak w rogu? Nie jestże to największa obelga wyrządzona rozumowi i nauce, nie jestże to zaślepienie o jeden stopień tylko niższe od fiksacji?

Teraz przyjrzmy się rozmaitym sposobom guślarskiego leczenia, poczynając od leków mniej skomplikowanych i naturalniejszych.

W niektórych okolicach kto chory na ból gardła, temu kreślą na ciele krzyże złotem święconem w wigilją Trzech Króli, oraz mirą okadzają. Czasem zaś od téjże słabości dają choremu jeść jabłka poświęcone w dzień świętego Błażeja. Nicbyśmy przeciw tym sposobom leczenia nie mieli, gdyby nie zachodziła w nich profanacja rzeczy świętych.

W okolicach Kutna gdy dziecko schnie a matka obawia się aby suchot nie dostało, zamiast wezwać lekarza, wynosi je naczczo i kładzie pod krzakiem bzu kwitnącego. Sama zaś, wróciwszy do domu wykonywa trzy roboty (koniecznie trzy!), a w trakcie tego odmawia zalecone pacierze. Przez cały ten czas, dopóki dziecka nie przyniesie, nie wolno jej do nikogo ani słowa przemówić. Jeżeli środek ten nie pomoże, to dziecko niezawodnie umrze.

Od choroby świętego Wita, której medycyna niezawsze umié dać radę, proste baby wiejskie mają wyborne lekarstwo. Oto zawieszają koszulę chorego na figurze przy rozstajnych drogach i koniec na tem! Jeżeli choroba nie usłucha, to już wina zawieszającego, który zapewne się przy zawieszaniu obejrzał, lub komukolwiek o tej manipulacji powiedział. Że też to na wszystko znajdzie się przyczyna!

A wiesz czytelniku miły jak leczyć krostę na języku? Oto weźmij szpilkę i ukłuj kilka razy — nie język, broń Boże — ale obrąbek od koszuli, którą masz na sobie, a krosta z pewnością zginie. Za takie lekarstwo wartoby wynalazcę jego obdarzyć złotym medalem, ba, wznieść mu nawet pomnik, bo czyż to nie cudowna rzecz, przez kłócie nieszczęśliwej koszuli, pozbyć się nieznośnego bólu który nas dręczy! Zakrawa to na piosenkę:

Lazł na gruszkę,
Rwał pietruszkę
O jak słodka cébula!

Już daleko więcej skomplikowane jest następne lekarstwo: weź piasku z grobu, tak aby nikt nie widział, i to w piątek, o pewnej godzinie; jeżeli się lekarstwo nie uda— to widocznie piasek był wzięty z pominieniem którego z powyższych przepisów. Albo: uzbieraj macierzanki, rozchodniku i krwawniku, każdego gatunku po trzy zioła i notabene z dziewięciu różnych miejsc. To wszystko ugotuj w garnku starym oddawna nieużywanym, i daj choremu, który pewnie odzyska zdrowie, jeżeli tylko wszystkie przepisy punktualnie były zachowane. W przeciwnym razie widocznie, że albo garnek był używany, albo owe zioła nie z dziewięciu ale z ośmiu miejsc zebrane zostały, albo wreszcie w trakcie leczenia cokolwiek użyczyłeś komu; bo na wszystkie dobre uczynki medycyna guślarska bardzo krzywem spogląda okiem.

Miejscami od bólu zębów mają lekarstwo niezawodne (wszystkie leki tego rodzaju nigdy nie zawodzą): oto, do cierpięcego zęba dotykają trupim zębem. Lekarstwa tego jednak rzadko kto używa, obawiając się aby właściciel cudownego zęba, nie zgłosił się poń z grobu, co wcaleby nie na rękę choremu poszło. Bezpieczniej już daleko, jako prezerwatywę, nosić w tym celu na szyi sznurek bawełniany z 27-miu węzłami. Jeżeli masz czytelniku kilkoro dzieci, wybierz do urządzenia onegoż najstarsze lub najmłodsze dziecko. Na sznurku mającym długości łokieć, robi ono trzy razy po 9 węzłów, licząc na wspak, t. j. od dziewięciu do jednego, dopóki nie utworzy się 27 węzłów. Przyczém dopiero po zawiązaniu dziewięciu węzełków wolno jest odetchnąć. Jeżeli środek ten nie pomoże, widocznie dziecko twoje nie biegłe jest jeszcze w arytmetyce.

W niektórych okolicach nie dość, że się chcą pozbyć choroby, (co zresztą jest rzeczą naturalną) ale usiłują przekazać ją komu innemu. W tym celu, jeżeli na kogo zły duch naszle febrę, wieszają u figur chustę chorego, w mniemaniu, ktoby tę chustę odczepił, na tego choroba przyjdzie. W tymże celu wyrzucają na ulicę część bielizny słabego, mniemając, że kto ją podejmie, ten chorobę odziedziczy. Zabobon ten, jako ze złemi chęciami połączony, oczywiście zasługuje na najsurowsze potępienie i niekorzystne rzuca światło na serce tych, którzy się podobnym manipulacjom oddają.

Uczciwiej lecz wcale nierozsądniej postępują sobie osoby chore na reumatyzm, które trzymają w pokoju świnkę morską lub gila, w mniemaniu, że stworzenia te posiadają własność przyciągania takowej.

W okolicach Sieradza, pragnąc aby się kołtun wywinął, skrapiają włosy odwarem barwinku, a następnie takowy w dniu pogodnym *pod pewnym znakiem niebieskim* opalają, szepcząc przytem niezrozumiałe wyrazy. Opalony kołtun zakopują lub pod strzechą chowają.

W guberni Radomskiej jeszcze lepiej postępują sobie chcąc się pozbyć jęczmienia z oka: biorą w tym celu cegiełkę, chuchają w nią, przerzucają przez siebie trzy razy, nie oglądając się, a następnie rzucają w komin. Lekarstwo to musiały chyba wymyślić dzieci, jeżeli nie ludzie zdziecinniali, bo trudno sobie przypuścić aby człowiek obdarzony wszystkiemi zmysłami, mógł do takich głupstw jakąkolwiek przywiązywać wiarę.

Wszystkie przytoczone powyżej lekarstwa, a podaliśmy zaledwie małą ich cząstkę, możnaby nazwać domowemi, guślarskiemi środkami; następne zaś są już więcéj skomplikowane, a jeżeli chcecie, bardziej jeszcze szalone, i dla tego udzielane zwykle bywają przez biegłych w tej sztuce, więc przez znachorów, mądrych, wróżbistów i t. d.

W Poznańskiem np. *zażegnywanie* bólu odbywa się w ten sposób: mądry (lub mądra) szepcząc jakieś pacierze, pociąga po nim z lekka palcami z góry na dół dopóty, dopóki nie ukończy swych pacierzy bez najmniejszego zmylenia.

Utracony apetyt i ociężałość członków odczyniają w ten sposób: cierpiący kładzie się twarzą na ziemi i rozciąga na krzyż ręce. Tymczasem mądra przędzie nić z pakuł, okręcając wrzeciono w stronę przeciwną i nie używając przytem śliny. Nitka musi być długości człowieka. Wziąwszy ją mierzy go od głowy do pięt i od końca średniego palca lewej ręki, do końca środkowego palca prawej trzy razy, szepcząc pacierze. Następnie pali tę nitkę ogniem skrzeszonym krzesiwem, a proch daje wypić choremu w łyżce wody lub wódki. Nie dość jeszcze tego, skuteczność lekarstwa zależy na przerzuceniu tej łyżki przez głowę, poczem dopiero, chory winien położyć się twarzą do ściany i tak przeleżeć całą godzinę, do nikogo słowa nie rzekłszy.

Leczenie *za pomocą wróżby* odbywa się w niektórych okolicach kraju w ten sposób: roztwierają książkę do nabożeństwa i w środek karty uderzają nożykiem: z wyrazu na który nożyk spadnie, wnoszą wróżbiści o rodzaju choroby i sposobie jej leczenia.

Formuła wreszcie *zamawiania* od ukąszenia wężów, brzmi w okolicach Nadniemeńskich w te słowa, żadnego niemające znaczenia: „kota, rota, dota, baszałyk, adysc, psyk, cilc.”

Jeżeli, miły czytelniku, przytoczone powyżej szczegóły nie zniechęcą cię ostatecznie do lekarzy i leków guślarskich, to już widocznie nie dla ciebie druk i papier wynaleziono. *Mścisław Kamiński.*

DROGA DO NIEBA.

— Matulu moja, powiedzcie jéno,
Jaką do Nieba trafić dróżyną?
Czy ta jest droga żywota wieczna,
Co lśni na Niebie jak wstęga mléczna,
Czy jaka inna ukryta może,
Która prowadzi w Królestwo Boże?

— Oh, mój serdeczny aniołku mały!
Ten lilijowy gościniec biały
Na którym jasną, wiosenną nocą,
Srebrne gwiazdeczki światłem migocą,
To tylko dla nas jako wzór święty,
Na lazurowem Niebie rozpięty,
By droga nasza była tak biała,
Jak ta w błękitach wstęga wspaniała!

Kto chce do Niebios trafić, o dziecię!
Ten drogę znajdzie i tu na świecie:
Miłość—mu—bliźnich wrota otworzy,
A litość, w kraj go zawiedzie Boży.
Oh mój aniołku! przed tobą droga
Leży, wiodąca do Pana Boga.
Nie zbaczaj jéno na ścieżki kręte,
Lecz powinności wypełniaj swięte,
A gdy kres życia padnie na ciebie,
I ty gwiazdeczką zalśnisz na Niebie.

Władysław Bełza.

NA GORĄCYM UCZYNKU.

Kartka z kroniki kryminalnej.

(Ciąg dalszy.—patrz N. 22-gi).

Termin sądu zbliżał się szybko. Zapytano Opędzkiego, kogo ustanawia swoim obrońcą? odpowiedział, że nie zna nikogo z adwokatów i poprzestanie na tym kogo mu wyznaczą.

W parę dni potem obrońca dodany mu z urzędu, odwiedził go w więzieniu.

— Czytałeś pan moje akta,—zapytał go obżałowany.

— Czytałem.

— I cóż pan o nich sądzisz?

— Że obrona pańska niedostateczna, potrzeba ją uzupełnić czemś prawdopodobniejszem niż to, coś pan dotąd mówił.

— Niestety, mówiłem prawdę, i nic więcej nie mam do dodania. Próżnym będzie jak widać trud pański, ażeby mnie ocalić. Wszystko się na mnie sprzysięgło, fatalność jakaś mnie ściga.

— Przedewszystkiem nie trzeba upadać na duchu, panie,—odpowiedział mu na to obrońca,—powinieneś pan, jeśli się czujesz niewinnym, użyć wszystkiego co się da, a przynajmniej zachować całą energją w obronie. Jeżeli sam tego naturalnego obowiązku zaniedbasz, nie będziesz mógł mieć za złe sądowi, że to sobie wytłumaczy na twoję szkodę.

— Jeden jest tylko środek, ażeby mnie uwolnić z tej biedy,—odrzekł Opędzki,—ale energja na nic się tu nie przyda z naszej strony, bo ten środek nie w mojej i nie w pańskiej mocy.

— Jakiż to środek?...

— Wykryć prawdziwego zabójcę.

Twarz prawnika przebiegł błyskawiczny uśmiech powątpienia i litości. Widocznie i obrońca był przekonanym o winie swojego klijenta.

Opędzki nie dostrzegł tego uśmiechu, czy też nie zrozumiał jego znaczenia. W rozmowie dalszej, zachęcony przez adwokata, który mu się starał dodać przekonania o możności zwycięzkiego wyjścia z tej sprawy i rozbudzić jego energją, odzyskał wymowę i nieco pewności siebie, zaczął podnosić i przywodzić wszystkie okoliczności, jakie za nim mówiły, dodawał co mógł w celu ich uzupełnienia, z ogniem i siłą wykazywał że jest niewinnym, poszlaki które się na niego waliły odpychał z całą potęgą oburzenia, a gdy wspomniał o przypuszczeniu, że on sam mógł dla zatarcia śladów zbrodni, włożyć dukata do kieszeni zamordowanego, stał się prawdziwie wzniosłym.

— Cóż mam na taki zarzut odpowiedzieć,—zawołał,—gardzę nim, to dosyć. Nie zastanawiałem się nigdy nad postępowaniem zbrodniarzy, nie wiem czy do takiej przezorności i zimnej krwi przy spełnianiu najstraszliwszej zbrodni są zdolni,—dla honoru jednak natury ludzkiej przypuszczam i twierdzę, że nie.

Mówił to z takim ogniem, z takim zapałem, że zachwiał moralnem przekonaniem swego obrońcy. Zacny ten prawnik powiedział sobie, że trudno przypuścić, żeby prawdziwy zbrodniarz okazywał tyle oburzenia względem obarczających go zarzutów i przyznał w duchu, że jego klijent może być niewinnym.

Dla Opędzkiego było to nadzwyczaj korzystnem, że wywarł takie na swoim obrońcy wrażenie. Było odtąd pewnem, że jego obrona będzie krzykiem serca, a nie suchym, przybranym w retoryczne kwiatki wywodem zimnego, somfizmującego wbrew swemu własnemu przekonaniu, rozumu. Wymownym prawdziwie, choćby kto najznakomitszy talent oratorski posiadał, może być tylko wtenczas, gdy mówi zgodnie z swojem przekonaniem wewnętrznem. Można zręcznie bronić tego w co nie wierzymy sami, z zapałem jednak niekłamanym mówi się tylko w sprawie, którą sami uważamy za słuszną.

Niestety, na poparcie przekonania o swej niewinności, które nieledwie samym dźwiękiem swoich słów przelał w duszę swego obrońcy, Opędzki nie miał ani jednego stanowczego i niezaprzeczalnego lub niedającego się przeciw niemu wytłumaczyć faktu.

VII.

Nadszedł nareszcie dzień sądu.

Posiedzenia sądów kryminalnych nie odbywają się u nas w taki sposób jak zagranicą i mniej przedstawiają interesu dla publiczności, która też bywać na nich się nie stara. Jesteśmy pewni, że daleko większa liczba osób u nas czytuje oryginalne lub tłumaczone sprawozdania o sprawach kryminalnych zagranicznych, niż wie jak się one w naszym kraju odbywają.

Procedura nasza karna nie opiera się jak w innych krajach na akcie oskarżenia lecz na śledztwie. Przed sędziami, którzy mają wydać wyrok, nie występują świadkowie; obecność nawet oskarżonego, lubo dozwolona, nie jest konieczną, przesłuchanie go publiczne nie ma miejsca, wolno mu tylko podnosić głos w swej obronie. Cały przebieg sprawy w obec publiczności się toczącej, ogranicza się tylko na oskarżeniu, na zasadzie przeprowadzonego śledztwa, na obronie i na postawieniu wniosków prokuratorskich. Wszystkie te czynności pełne form i szczegółów obojętnych lub nużących dla ludzi nieobznajmionych specjalnie z prawem, nieprzedstawiają najważniejszego interesu, dramatyczności, która tylu słuchaczy ściąga w innych krajach na posiedzenia sądowe.

To też na posiedzeniu sądu, który o losie Opędzkiego miał decydować, oprócz samego składu sądowego, znajdowało się ledwie kilkanaście osób, po największej części takich, których sprawa bliżej obchodziła.

W ich liczbie był pan Antoni i pan Soter.

Prokurator wniósł zaskarżenie z całą siłą wymowy na głębokiem przekonaniu opartej. Zgromadził i uporządkował logicznie dowód winy, przeciw któremu zdawało się, że nic odpowiedzieć nie będzie można. Wziąwszy nieszczęśliwego delinkwenta od kolebki, w całem jego *curriculum vitae*, znajdował wskazówki dowodzące wewnętrznego zepsucia. Lekkomyślność, tracenie pieniędzy bez myśli o jutrze, szulerka, łamanie przysiąg złożonych na ołtarzu miłości, wszystko aż do tajenia przed sprawiedliwością ludzi, którzy się oddawali niecnemu rzemiosłu, wszystko to razem złożyło się żeby jak najfatalniej przedstawić człowieka, żeby dać najczarniejszy obraz jego charakteru. Przechodząc następnie do zbrodni samej, mówca zaczął od określenia jej, i z całą jaskrawością barw przedstawił ohydę czynu, w którym zbrodnia większa—morderstwo, służy tylko za środek do popełnienia zbrodni mniejszej—rabunku. Dalej, podzieliwszy

rzecz swą na trzy części, rozebrał najpierw poszlaki dowodzące, że okarżony mógł się zbrodni dopuścić, dalej poszlaki wskazujące że się jej dopuścił, wreszcie udowadniał że się jéj dopuścił z rozmysłem gruntownym i że swoję obronę naprzód sobie przygotował.

Czytelnicy nasi wiedzą z przebiegu sprawy, że cały ten wywód nie był bynajmniej naciąganym, że na każde jego słowo w śledztwie znajdowały się bardzo prawdopodobne i niezbite poszlaki.

Kończąc prokurator żądał zupełnego wymiaru kary, opierając się na tem, że oskarżony w całym przebiegu sprawy nie okazał najmniejszego żalu, że owszem stanowczo i zuchwale wypierał się zbrodni, w której był ujętym na gorącym uczynku nieledwie, usiłując ją nawet spędzić na innych, od czego tylko w obec niepodobieństwa przeprowadzenia tego systemu obrony zdecydował się odstąpić.

— W takim stanie rzeczy nie ma okoliczności łagodzących,—mówił,—obstaję za tem, główny nacisk na to kładę, uparcie się tego trzymam i uważam to nawet za najważniéjszy punkt mego wywodu; obronie bowiem nic nie pozostaje, jak odwołaniem się do litości wysokiego sądu, uznanie okoliczności łagodzących winę wymodlić, kiedy tutaj potrzeba zupełnego wymiaru sprawiedliwości, kary surowej i nieubłaganej, wielkiej jak zbrodnia która ją ściągnęła.

Prokurator zakończył na tem, a wtedy obrońca się podniósł i w niespodziewany zupełnie sposób rozpoczął:

— Nie uznania okoliczności łagodzących, lecz uznania zupełnej niewinności obwinionego żądać zamierzam od wysokiego sądu, przed którym stoi człowiek, uważający najmniejszą nawet i najłagodniejszą karę za równą najwyższej i najsroższej, bo obie w sobie zawierają potępienie.

Po tych słowach z coraz większym zapałem, z dziwną siłą logiki mówca zbijał po kolei wszystkie wywody prokuratora, opierające się na tem, że wszystkie poszlaki, jakie przypadek czy fatalność zgromadziła nad głową oskarżonego są dwuznaczne i również dobrze, również ściśle na dowód niewinności jak na dowód winy Opędzkiego wytłumaczyć się dadzą.

— Poszlaki te,—mówił obrońca, —pod względem liczby dzielą się na dwie części nierówne. Najprzód oddzielnie stoją wszystkie, które już w czasie prowadzenia śledztwa uznano za niedostateczne, za nic nieznaczące, gdy po najdokładniejszem ich zbadaniu postanowiono uwolnić oskarżonego bez sądu. Następnie przybywa do nich jedna, jedyna, która, mówiąc wyrażeniem użytem przez pana prokuratora, jak słońce oświeciła tę sprawę. Wszystkie inne pozory winy czerpią blask od tego słońca, a same przez się, jak to już uznanem zostało, żadnego nie mają znaczenia. Przyjrzyjmy się więc bliżej temu słońcu.

Tutaj mówca wdał się w obszerny rozbiór wniosków, jakie prokurator wywiódł ze znaków znalezionych na pieniądzach.

— Pierwszy jestem,—mówił,—do uznania trafności tego rozumowania, ale wtedy tylko, jeżeli ono opiera się na fakcie, że oskarżony jest winnym. Dopóki ta podstawa jest niepewną, inne rozumowanie jest również uprawnione, a tem jest rozumowanie oskarżonego. Fakt, który on podaje na wytłumaczenie jakim sposobem przyszedł do pieniędzy, noszących na sobie ten sam znak, jakim była opatrzona sztuka złota znaleziona przy zamordowanym, nie leży w zakresie nieprawdopodobieństw fizycznych, na obalenie go zatem potrzeba czegoś więcej, jak rusztowania przeciwnych wnioskowań. Niedość powiedzieć, że trudno przypuścić, żeby właśnie tak się zdarzyło jak oskarżony powiada, trzeba dowieść, albo faktycznie, że tak nie było, albo logicznie że tak być w żadnym razie nie mogło. Takich dowodów nie ma w głosie oskarżyciela, więc tej poszlaki przyjąć niepodobna. Niepodobna, powtarzam, z zasady że coś jest nieprawdopodobnem, wyprowadzać wniosku na potwierdzenie prawdziwości innego nieprawdopodobieństwa, takiem zaś nieprawdopodobieństwem jest popełnienie przez oskarżonego zbrodni, którą mu zarzucono.

W tem miejscu adwokat dostał się na wdzięczniejsze pole. Z charakteru, postępowania, toku śledztwa i systemu obrony obwinionego łatwiej było wywodzić, iż nie był zdolnym do popełnienia zbrodni, niż walczyć rozumowaniami przeciw poszlakom, których ogół miał niezbitą siłę. Tamta część obrony opierała się na suchych logicznych wywodach, trudnych, pracowitych, mozolnych, ta dawała pole do rozwinięcia wszystkich zasobów wymowy. Tutaj też obrońca okazał największy talent, i jeżeli nie zmienił przekonania sędziów, zrodził w nich przynajmniej wątpliwość.

Konkluzje obrony zamykały się w tem: że należy przyjąć za fakt, iż nie ma żadnej moralnej albo faktycznej wskazówki, któraby twierdzić pozwalała, że oskarżony był zdolnym do spełnienia zarzucanej mu zbrodni, że przeciw niemu istnieje tylko jedna i jedyna zasługująca na uwagę poszlaka, to jest, posiadanie znaczonych pieniędzy; że gdy zdolność do zbrodni nie jest udowodnioną, jedna poszlaka nie jest dostateczną, zwłaszcza, gdy co do niej oskarżony składa tłumaczenie, niewchodzące w zakres niepodobieństw, że zatem poszlaki tej przyjąć nie można i uznać trzeba oskarżonego niewinnym, a nawet w razie przyjęcia jej, uwolnić go należy dla braku dowodów.

Obrońca skończył. Zapytano oskarżonego czy ma co do dodania na swą obronę.

— Nic,—odpowiedział,—oprócz tego chyba, że wolę cierpieć niewinnie, niż być uwolnionym z pozostawieniem na mnie podejrzenia. Nie twierdzę, żebym nie przewinił w życiu, choć tej zbrodni winien nie jestem....niechże kara, jeśli ma spaść na mnie niesłusznie, będzie pokutą za te przewinienia....

— I podłości!—dorzucił głos jakiś z sali.

Opędzki spojrzał mimowolnie w stronę, zkąd go ten głos dochodził.

W nielicznem audytorjum znajdował się w tej chwili sędziwy starzec z długą, siwą brodą, wargi mu jeszcze drgały od tego z oburzeniem i pogardą wymówionego wyrazu.

Oskarżony zachwiał się, zbladł, nogi się pod nim zatrzęsły, upadł na ławkę.

— Tak!...i podłości!...—wyjąkał obłąkanym nieledwie głosem, oburącz zakrywając sobie oczy,—wiem teraz za co mnie Bóg karze — wiem co te wszystkie poszlaki znaczą...nie winnym tej, alem winny straszniejszej zbrodni, za którą prawo by mnie... niedosięgło...

Osłabienie mówić mu dalej nie pozwoliło, omdlałego wyniesiono z sali. *(d. c. n.)*

CZARODZIEJSKA DOLINA.

(Ciąg dalszy—patrz Nr. 22-gi).

Zaledwieśmy skończyli z niedźwiedziem, gdy uwaga nasza w inną zwróciła się stronę: sykomor był w ogniu. Wnętrze wysłane suchem drzewem zajęło się ogniem i gwałtownie płonęło, zagrażając zniszczeniem naszego miodu. Jedyna nadzieja ratunku pozostawała w jak najrychlejszem ścięciu drzewa i oddzieleniu części płonącej od tej w której się miód znajdował. A czas naglił, bo ogień wzmagał się z niesłychaną szybkością i już, już wierzchołka dosięgał. Żwawo jednak wziął się Paweł do dzieła, i wreszcie usłyszeliśmy trzask, drzewo się zachwiało i padło na ziemię. Zaledwie tej ostatniej dotknęło, Paweł jakby atakując jakiego potwora, rzucił się z siekierą na inny punkt drzewa i w kilka chwil potem oddzielił część palącą się od niezajętego jeszcze pożarem wierzchołka.

Niedźwiedź zaledwie parę plastrów zjadł miodu, zostawiając prawie cały ul nietknięty. Miodu mieliśmy tyle, żeśmy wszystkie naczynia nim napełnili. Odrąbawszy niedźwiedziowi łapy, które jak wiadomo wielkim są przysmakiem i zdjąwszy zeń skórę, późnym już wieczorem wróciliśmy do domu.

Dotąd pomysł nasz przyswajania zwierząt dzikich o tyle się tylko udał, żeśmy mieli kilkanaście małych zwierzątek, bez żadnego prawie użytku, oraz trochę istotnie pożytecznego ptastwa. Ale ze zwierząt większych udało się nam złapać parę danieli i to samców. Samicy zaś w żaden sposób ująć nie mogliśmy. Wreszcie przyszło nam na myśl, aby wypatrzywszy ścieżkę najwięcej uczęszczaną przez te zwierzęta, wykopać na środku głęboką jamę i starannie zakryć takową gałęziami. Niedługo szukaliśmy takiego miejsca: znajdowało się ono w pobliżu źródła słonego, dokąd jelenie i daniele często przychodzą lizać słone kamienie.

Nazajutrz tedy wykopaliśmy w tem miejscu jamę na siedm stóp głęboką, przy odpowiedniej szerokości. Ziemię wywieźliśmy o kilkadziesiąt kroków dalej, a samą jamę przykryliśmy najstaranniej gałęźmi, tak, że najmniejszego znaku połapki nie było.

Nazajutrz bardzo rano byliśmy już przy jamie, w której, o dziwy, znaleźliśmy tylko szkielet daniela i ślady zażartej walki. Domyśliliśmy się co to znaczy: wilki zwąchały zdobycz, pożarły ją, a same nie znajdując ścian zbyt wysokiemi, przeszkoczyły je i uciekły. Potrzeba było jeszcze głębszą jamę wykopać. To też powiększyliśmy ją jeszcze o cztery stopy, przyczem nie tylko ściany skopaliśmy prostopadle, ale dno jamy uczyniliśmy szersze, aniżeli jej otwór. Na drugi dzień udaliśmy się tam wszyscy, nie wyłączając Anny z dziećmi. Zbliżając się do jamy zauważaliśmy, że gałęzie które ją pokrywały były naruszone, a zajrzawszy przez zrobiony otwór wewnątrz, ujrzeliśmy kilka par błyszczących oczu. Zaleciwszy żonie i dzieciom odejść na stronę, bo byłem pewny, że z wilkami będziemy mieli do czynienia, zajrzałem raz jeszcze w głąb'. Oczu tych zdawało się, iż było sześć par, ale rozmaitych odcieni, co naprowadziło nas na wniosek, że w jamie muszą się znajdować rozmaitego gatunku zwierzęta. Kto wie, może pomiędzy niemi znajduje się pantera? I znowu podwoiwszy ostrożność, odgarnąłem gałęzie i zajrzałem w głąb'. Pierwszem zwierzęciem, na które oczy moje padły, była łania a przy niej dwoje małych jelonków. Pozostałe trzy pary oczu należały do wilków, z któremi wnet przyszedł Paweł do ładu.

Jeżeli z jednej strony niezmiernie nas cieszyła ta zdobycz, to z drugiej natomiast gubiliśmy się w domysłach jakim sposobem łania mogła ocaleć, pośród trzech wilków, znanych ze swej dzikości i żarłoczności? Później dopiero, gdyśmy dokładnie poznali obyczaje tych zwierząt, domyśliliśmy się przyczyny tego dziwnego wypadku. Wilki te, zwane łąkowemi, należą do najzmyślniejszych zwierząt. Otóż pożarłszy poprzedniego dnia w jamie daniela, postanowiły zajrzeć i nazajutrz do tej ostatniej. Skoczyły tedy za łanią do jamy, ani przeczuwając, że ta o cztery stopy jest głębszą, i tak się przeraziły tym skokiem i głębokością fossy, że zupełnie wyrzekły się łupu, li tylko o własnej myśląc skórze.

Podobne wypadki częstokroć i z innemi zwierzętami mają miejsce.

Ale oto inna przygoda, która omal bardzo smutnie dla nas się nie skończyła. Poszliśmy we dwóch tylko z Witoldem po mech hiszpański, rosnący na niektórych dębach w przeciwnej stronie doliny. Mech ten jest bardzo miękki i sprężysty, i wybornie służy do napychania materaców. Znalazłszy jeden z takich dębów prawie u stóp opoki, zebraliśmy mech naprzód z niższych gałęzi, włażąc potem coraz wyżej i wyżej, i ogałacając drzewo z pięknego srebrzystego mchu. Wtem zwrócił nas krzyk ptaka na sąsiedniem drzewie, a gdyśmy się starali wyśledzić przyczynę onegoż, ujrzeliśmy sunące się po ziemi dziwnego kształtu zwierzątko, mające na grzbiecie i po bokach kilkanaścioro małych, podobnych do siebie istot. Była to samica—dydelf z dziećmi, czatująca jak się zdawało na gniazdo jakichś ptaków, które na sąsiedniem widzieliśmy drzewie. Jakoż tak było w rzeczy samej. Dydelf porzuciwszy swe małe, wlazł na drzewo, potem na gałęź, na której gniazdo się znajdowało, ale gałęź tak była cienka, że pomimo najrozmaitszych wysileń, orginalne to zwierzę musiało zaniechać swego łupu i zawstydzone oddaliło się od niego. Nie uszło jednak daleko, bośmy zlazłszy z drzewa, dopędzili je i bez trudności ująwszy, przywiązaliśmy do drzewa, zamierzając zabrać z sobą do domu.

Zaledwieśmy wrócili do swego zajęcia, gdy nowy krzyk tegoż samego ptaka zwrócił naszą uwagę. Tym razem biedne ptasze miało do czynienia z daleko niebezpieczniejszym nieprzyjacielem: po trawie czołgał się ku drzewu wielki wąż, zwany *mokasson*, którego ukąszenie jest zabójcze. Niewypowiedziana trwoga przejęła biedne ptaki, które zamiast ratować się ucieczką, coraz bardziej zdawały się ulegać niepokonanemu wpływowi wzroku gadziny, o którym tele już *pro* i *contra* wyrzeczono. Niewiadomo jaki byłby skutek tej szczególnego rodzaju walki, bo wąż, w chwili gdy już, dosięgał prawie swą zdobycz, nagle się cofnął, jakby czemś przerażony.

— Coby go mogło przestraszyć? zapytał Witold.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, ujrzeliśmy wychodzące z zarośli zwierzę wielkości wilka, koloru czarno-burego. Całe jego ciało było pokryte rodzajem szczeciny, długiej prawie na sześć cali. Uszy miało krótkie, ogona zaś wcale nie miało, a na nogach kopyta, zamiast pazurów. Głowa bardzo była podobna do świniej, a podobieństwo to zwiększały nadewszystko dwa kły z boku ryja wychodzące.

Jakoż, był to *pekari*, czyli dzika świnia meksykańska.

Z tyłu za nim biegło dwoje małych prosiąt.

Biedne ptaki, za jego zbliżeniem się znowu krzyczeć przerażone zaczęły, ale pekari bynajmniej na nie nie zważał a biegł prosto za żmiją, którą dopędziwszy wspiął się na tylnych nogach, i całym ciężarem przednich wbił się w ciało gadu, wijącego się w boleściach. Potem znowu się wspiął i z nową gwałtownością uderzył, a żmija zdeptana i stratowana wyciągnęła się w całej długości na ziemi, drgnęła konwulsyjnie i żyć przestała. Pekari wydał okrzyk tryumfu, który jednocześnie zdawał się być wezwaniem jej małych, bo te natychmiast ku matce przybyły. *(d. c. n.)*

JASKÓŁKA.

Jakkolwiek stare przysłowie powiada: iż jedna jaskółka nie przynosi wiosny, zawsze jednak ukazanie się tej miłéj, rzeźkiej ptaszyny błogą sprawia ludziom otuchę, że wkrótce zawita tak pożądana dla ludzi i wszystkiego co żyje ciepła pora. To też jaskółka wielkiemi łaskami cieszy się u ludzi, a wielu, zabić ją, za grzech śmiertelny uważa.

Zresztą i inne jeszcze względy umacniają tę przyjaźń człowieka z jaskółką. Wszak jaskółka to jego prawie domownica. Pod tą samą strzechą gdzie on miészka, i ona wybudowała sobie domek. Co rano ją widzi rzeźko krzątającą się koło swego gniazdka, igrającą z młodemi, upędzającą się za muszką lub owadem, staczającą boje z wróblami. Na zimę znika wesoła sąsiadka, lecz po to tylko, by na wiosnę znowu w rodzinne strony powrócić, i tym samym trybem co wprzódy życie pędzić. Dzika z pozoru, niedostępna dla ludzi, rada jednak w sąsiedztwie z niemi przebywa: któż odbywając latem podróż, nie zauważał kilkanaściorga tych ptasząt, szybujących do koła wozu i koni? Czy to jaskółki czynią przez ciekawość, czy w nadziei żeru, lub z innych powodów, dość, że ta eskorta ani na chwilę nie znika; skoro się jedne zmęczą i odlecą, wnet inne miejsce ich zastępują.

Naturaliści liczą 40 gatunków jaskółek, z których trzy znane są pospolicie u nas: 1) *Jaskółka dymówka*, gnieżdżąca są głównie w kominach i na poddaszach; gniazdo jej z wierzchu otwarte, ogon ma mocno widłowaty, a podgardle rdzawe. 2) *Jaskółka oknówka*, gnieździ się po nad oknami i gzémsami gmachów murowanych, nóżki ma kosmate, ogon słabo wcięty, kuper biały. 3) *Jaskółka grzebiółka*, gnieździ się w głębokich norach, nad brzegami rzek i t. p. Tem się różni od poprzednich, że jest koloru szarego.

Dymówki i oknówki odlatują w jesieni do krajów cieplejszych, jak ku Węgrom i Włochom, a na zimę zupełnie opuszczają Europę, przenosząc się do Azji i Afryki. Na wiosnę znowu wracają na północ, gdzie już stale kilka miesięcy letnich spędzają. Wiele osób chciało się przekonać czy to prawda że jaskółki na wiosnę wracają na to samo miejsce, zkąd w jesieni wyleciały. Następny przykład przytaczany przez wielu znakomitych przyrodo-znawców, zdaje się w zupełności to mniemanie usprawiedliwiać.

W r. 1779 pewien mieszczanin z Bazylei uwiązał na cienkim druciku blaszkę z napisem: „Piękna jaskółko, powiedz mi, gdzie na zimę lecisz?” Na wiosnę ujrzał tę samą jaskółkę, ale z inną blaszką, na której przeczytał: „Do Aten, do Antoniego, dla czego mnie o to pytasz?”

Niekiedy tak daleko zapędzają się jaskółki na północ, że widywano je w Szwecji i Norwegji, a nawet w Laponji.

Zdawało się, że tak niewinna ptaszyna jak jaskółka, żadnego nie powinnaby ściągnąć na siebie zarzutu. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie. Zarzucają im, że w pasiekach szkody czynią, ale to niesłusznie, bo jaskółka tak mały ma dziobek, że nie objęłaby nawet pszczoły. Co większa, doświadczenie przekonało, że ukąszenie pszczoły jest dla jaskółki bardzo niebezpieczne, a nawet śmierć jej sprowadzić może, a już ta sama okoliczność obala zarzut powyższy. Zarzucają też jaskółkom oknówkom, że psują mur swemi gniazdami, że szpecą domy i nieczystość zaszczepiają. Co do psucia, jest to uprzedzenie; szpecić zaś tak bardzo nie mogą, gdy zważym, że gniazda swe robią wysoko pod dachem, a co do zanieczyszczania — gdyby w naszych domach tyle tylko było nieczystości ile jaskółki sprawiają, to zaiste bylibyśmy najochędożniejszym narodem.

U nas jak wiadomo, nikt nie jé jaskółek, raz, że stary zwyczaj tak chce, powtóre, że nie wieleby skorzystano z tak małej ptaszyny, która co do objętości ciała, nawet wróblom ustępuje. Inaczej się rzecz ma w południowej Francji, we Włoszech, Sycylji i Malcie, gdzie zabijają je krociami w czasie odpoczynku przed zamorską podróżą i przynoszą na targi.

Pomiędzy jaskółkami wielka panuje jedność i zgoda. Nie tylko zwołują się nawzajem na obfity żer lub do spólnej powołują się obrony, lecz na zawołanie jednej nawet, nieznajome z oddalonych miejsc przylatują i jak żołnierze jednej armji, stają pod rozkazami tej która potrzebuje pomocy i woła o nią. Gdy wróbel wypędzi oknówkę, wyrzuci jajka i pisklęta, wtedy z własności wyzute ptaszki lecą głosić ogrom swego nieszczęścia; towarzyszki niebawem zbierają się, każda trzepocąc skrzydłami, staje przy zrabowanem gnieździe, do środka zajrzy, a zobaczywszy rozgoszczonego wróbla, zgrozą przejęta, prosząc żałośnie odlatuje i dalej popełnioną zbrodnię głosi. Po chwili zjawia się całe stado jaskółek, które poszczebiotawszy chwilę, nagle, jakby za danym znakiem odlatują, udając się do najbliższej kałuży. Tu każda bierze w dzióbek bryłeczkę błota, rozwilży dobrze gumową śliną, której nigdy nie zabraknie, leci ku zabranemu gniazdu, potrzepocze chwilkę i bryłkę przylepi. Gdy zważym, że jednocześnie czynią to setki jaskółek, łatwo sobie wyobrazimy, że otwór w mgnieniu oka zostaje zalepiony, a wróblowi wszelka nadzieja ucieczki odebrana. Że zaś w materjale znajduje się wielka obfitość lepkiej materji, a słońce w tej chwili operuje, nie dziw więc, że błoto w mgnieniu oka twardnieje i mocny stawia opór rozpaczliwym usiłowaniom uwięzionego wróbla. „Ta robota, powiada znakomity ornitolog Wodzicki, z którego szczegóły powyższe czerpiemy, jest tak szybka, ilość jaskółek tak wielka, iż mam przekonanie, że w chwili jednej łokieć ściany by wymurowały, a nie ma sekundy, żeby jednej lub dwóch bryłek nie przylepiły. Gdy się wszystko uspokoiło, a gniazdo trupa tylko mieści, oknówki rodośnie szczebiocąc w powietrzu wirują i głoszą światu sprawiedliwą karę; jedyna to oznaka złego uczucia, jakie w tych ptakach zauważyłem.”

Zdarza się jednak, że wróbel swobodnie korzysta ze swego przywłaszczenia i stałe sobie mieszkanie w jaskółczem gnieździe obiera, ale dzieje się to w późnej jesieni, już po odlocie jaskółek, więc wówczas gdy żadnego oporu nikt mu stawić nie myśli. Na wiosnę zaś, gdy wróbel uczuje ciepło, już się nie troszczy bynajmniej o swe zimowe mieszkanie i bez oporu ustępuje go prawym właścicielom.

Każda prawie para jaskółek wysiaduje dwa razy do roku, i wychowuje 10 do 12 piskląt. Głównem ich pożywieniem są owady, które z dziwną zręcznością w lecie chwytają.

Ze trzech powyżej przytoczonych gatunków jaskółek, najmniej jest u nas znaną Jaskółka grzebiółka czyli brzegówka. Gnieżdżą się one w urwiskach gór z miękkim pokładem ziemi, w szerokich wąwozach dróg publicznych, w glinianych ścianach cegielni, i w ogóle we wszelkich wzgórzach w blizkości wód. Grzebią tam jamki, podobne do

dziurraków rzecznych, i w nich to znoszą jajka i wywodzą potomstwo. W jednej takiej ścianie jest czasem kilkaset dziur, bo wszystkie w ogóle jaskółki są bardzo towarzyszkie i lubią żyć gromadnie. Grzebiółka najchętniej szybuje po nad powierzchnią urwistych rzek i jezior, gdzie ruchy jej są tak szybkie, zwróty tak niespodziane, że najbystrzejsze oko dośledzić ich nie zdoła.

Grzebiółka, pomimo drobnych rozmiarów swego ciała, dokonywa istotnie zdumiewających robót przy kopaniu jamek, o którycheśmy wspomnieli. Delikatnym swym dzióbkiem i takiemiż nóżkami grzebie przez lat kilka nory co rok zgłębiane, które kilka stóp głębokości mają. Nory zaś te składają się z wąziutkiego wchodu na kilkanaście cali długiego, obszerniejszej jamy w której się gnieżdżą. I tu jaskółki dają nam zdumiewający przykład pomocy wzajemnej. Gdy przy kopaniu nór napotka która na twardszy pokład, wnet jej inne pomagają, lub też gdy się zdarzy w korytarzu kamyczek zawadzający, wówczas jaskółki wspólnemi siłami starają się go usunąć, co niekiedy cały dzień pracy im zajmuje.

Ze wszystkich gatunków grzebiółka najpóźniej do nas przylatuje, bo dopiero w Maju. Plagą tych jaskółek są właściwe temu gatunkowi wszy, których nieraz takie jest mnóstwo, że całe gniazdo zda się ruszać. Grzebiółki opuszczają swoje gniazda wówczas, gdy wszystkie młode dostatecznie do lotu wprawione zostaną, co ma miejsce pod koniec Lipca lub w początkach Sierpnia. Zanim wszakże opuszczą kraj, w którym przez lato bawiły i do cieplejszych ulecą okolic, przebywają jakiś czas nad brzegiem rzeki lub stawu, porosłych gęstą trzciną i sitowiem, i tu wprawiają młode do lotu, upędzają się za owadami, wykonywają prawdziwie zdumiewające zwroty, to wznosząc się w górę ku obłokom, to lotem strzały muskając powierzchnią wód.

Mniemanie powszechne, że jaskółki na zimę zatapiają się w wodę, celem przepędzenia tej pory roku pod lodem, należy do rzędu baśni, które tak trudno nieraz przychodzi wyświetlić prawdziwej nauce. *M. K.*

SZKIC CHARAKTERYSTYCZNY,
Leona Kunickiego.



(Na bawarji przy dominie).

Pan z gruszkowatym nosem. Otóż sęk a w sęku dziura, czy *pomydlić* czy jechać czwórką?...

Pan z wąsami. Tak gorzej jeszcze, a tak jeszcze gorzej.

Pan bez wąsów. Radź się panie pryncypiów.... *primo*, swojego nigdy się nie bije...

Widz w okularach (*do pana z gruszkowatym nosem*). Smaruj pan *mydłem*.... kto smaruje ten jedzie...

Widz bez okularów (*podobnież*). Jedź pan czwórką, po pańsku, — praczki tylko mydlą.

Pan z gruszkowatym nosem. Racja!... jeśli mam przegrać, wolę z pańska czwórką pojechać, niż się wdawać w pranie.

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.
(*z dwóch stron rzeki*).

Jegomość łapiący ryby na wędkę (*do młodego chłopca wsiadającego do łódki, żeby się przeprawić na drugą stronę*). A słuchaj — no chłopcze, jak się przewieziesz na drugą stronę, to się dobrze przyjrzyj temu panu co tam stał.

Chłopiec. Dla czego? proszę pana.

Jegomość z wędką. Bo to najcierpliwszy człowiek, jakiego w życiu mojem widziałem.

Chłopiec. Oho!... a cóż on takiego cierpliwego zrobił?...

Jegomość z wędką. Już cztery godziny jak ja tu ryby łowię, stoi z założonemi rękami i patrzy na mnie. Mnieby prędzej licho wzięło ze złości niżbym wytrzymał przypatrywać się komu tak długo.

Jegomość z drugiego brzegu (*do tegoż samego chłopca, gdy przybył na drugą stronę*). Słuchaj-no chłopcze, a przypatrzyłeś się też tamtemu panu na drugiej stronie?

Chłopiec. A dlaczego miałem się przypatrywać?...

Jegomość z drugiego brzegu. Bo to dopiero człowiek cierpliwy!.... choć go za biletami pokazywać!...

Chłopiec. On, taki cierpliwy?... a za co?...

Jegomość z drugiego brzegu. Wystaw sobie już cztery godziny łapie ryby, ja stoję i patrzę czy też złapie choć jedną, ale najmniejszej nawet rybce nie śniło się o jego wędce. Kazałbym sobie dać sto kijów żebym tak czas tracił na darmo.

Chłopiec. A mnie się zdaje, z przeproszeniem pana, żeście panowie obydwa warci po sto.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.